

EDMUND BIEDER.

W NOC WIGILIJNĄ.

Miasto otulało się zwolna w mrok szary... Ruch na ulicach słabnął coraz bardziej. Tu i ówdzie zamajaczyła jeszcze sylweta kobiety w chustce, niosącej do domu, tam, bo w ostatniej chwili kupione drzewko, tu i ówdzie zaturkotały koła powozu i echo turkotu ginęło w dali. Latarnie uliczne świeciły jakoś niesamowicie i stały długim szeregiem wzdłuż trotuarów, które coraz bardziej pustoszały. Ciepły puszysty śnieg zaścilał coraz grubszą warstwą chodniki i na świecie stawać się poczęło jasno i białe...

Noc wigilijna... noc cudu!...

Chrystus się rodzi!...

Tadeusz Szczerski szedł pustymi ulicami, w furcie z podniesionym kołnierzem, szedł bez celu zapatrzonego w białe płatki śniegu, które padały jednostajnie przed jego oczyma, szedł zamyślony i jakoś dziwnie smutny, a w głowie kotłował mu chaos. Czuł się strasznie samotny i ogromnie biedny. Od czasu do czasu rzucał dobre, serdeczne spojrzenie na małą psinę, która szła z nim razem, a piesek jakby czuł, że jest jedynym drogiem przyjacielem, jakiego Szczerski na świecie posiada, zwracał ku niemu ustawicznie mądre swoje oczki, jakby chciał pytać, co to pana boli.

Dokąd iść?... co począć w ten wieczór?

Miał kilka zaproszeń, ale korzystać z nich nie śmiał i nie chciał. Wiedział dobrze, że gdy świeczki na choince zapłoną i że kiedy przy oplatku szczęśliwi i zadowoleni z życia jego znajomi poczną sobie składać wzajemne życzenia, z tą prostotą i serdecznością, jaką chowa się długo w pamięci, mimo woli nasuną mu się wspomnienia własnego szczęścia, które minęło jak sen...

A Szczerski bał się wspomnień. Tępił je bez litości w jakimś dzikim zapamiętaniu się, w jakiejś żalostnej rozpacz, która kazała mu sobie powiedzieć, że na świecie jest sam, tylko sam, a koło niego morze całe ohydy, kłamstwa, i tych małych ludzkich podłości, popełnianych codzień, zarówno przez pospolitych rzezimieszków niższego rodzaju, jak i tych, co na świecznikach stoją. Znał ich dobrze.

Niegdyś!

Ha! niegdyś! Niegdyś Szczerski szedł jak dzieciak mały z palcem w buzi zapatrzonego w gwiazdy, i choć głowę nabijał guzami o słupy, wierzył, że tylko ręką sięgnąć, a gwiazdy można zrywać z nieba. Takie marzenie i taka wiara ożywiały zawsze bardzo młodych młodzieniaszków, a Szczerski miał ją jeszcze w chwili, kiedy nadszedł „wiek męski, wiek kłeski“.

To się czasem zdarza...

I zdarzyło się Szczerskiemu, że kiedy Hanka, dziewczyna błękitnooka i słonecznowłosa, w cichy cudny poranek lipcowy powiedziała mu nad Wodospadem Mickiewicza w Tatrach, że go kocha, że poza nim świata nie widzi, Szczerski uwierzył, a uwierzywszy pokochał Hankę tak mocno, że poza nią nie widział nic, jeno szarą pospolitość i przeciętność.

I uświadomił sobie, że ta dziewczyna cudna pierwsza wpiła mu się w usta dziewczęcimi wargami i szepnęła w ucho, „mój mój, Dziut“ i przypomniał sobie, że przypadł do jej kolan i zaczął całować ręce, oczy i włosy i szeptał „moja! moja! jedyna! moja Hanka“!

— Psiakrew! Nerwy! — syknął Szczerski, zły, że właśnie teraz wspomnienia zaczynają obsiadać go znowu.

Wiedział, że jest poza brzegiem dobra i zła, wiedział, że to, co się jaskrawo wżera w oczy, jako ideał życia, to płaska bezwzględnie forma kompromisu, zawartego między mieszczańskim i bardzo tanim moralnym, a bardzo wyuzdanym i skrytym cynizmem. Ta strona życia mało go obchodziła, tem więcej, że widział koło siebie kółeczko zadowolonych i sytych i dobrze odzianych z tą drobną przymie-

szką szubrawstwa, które czyni zazwyczaj z czołowieka $0+0=1$.

Miał ich dość i ilekroć zetknął się z nimi, odkapać się nie mógł z tego brudu psychicznego, jaki zostawiali mu po sobie na pamięć.

A jednak... Szczerski żył z nimi. A kiedy przyszła Hanka, ta dziewczyna cudna i dobra, kiedy mu się zdało, że z nią razem słońce i radość zstąpiły do niego, by go nie opuszczać już nigdy, Szczerski idealista z cynicznością stał się jak małe dziecko, które wierzy w świętości.

I z poety słowa stał się poetą życia. — Szkoda tylko wielka, że własnego.

Hanka odeszła. Przyszła i odeszła... Takie to proste i takie jakieś dziwnie rozumne i jasne!...

Oh! Bardzo rozumne!

— Widzisz mój piesku, tyś został, tyś nie chciał opuścić swojego pana, który cię kocha i nigdy nie wyrządził ci krzywdy, boś ty taka mała dobra psina, która nie umiałaby płacić nienawiścią za miłość — odezwał się Szczerski głośno do pieska, który mu towarzyszył.

Piesek nastroszył uszka i spojrzał na Szczerskiego oczami, w których jaśniał bezmiar przywiązania.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się ironicznie Szczerski. — Wieczór wigilijny, ciepło rodzinne, oplatek, poetyczna scenerya z cudowną treścią, a często nawet bez treści, i siwe oczki małych dzieci, wpatrzonych w choinkę płonąca, jak w cud... i to dobre ciepłko, co każe chwilowo zapomnieć, że z chwilą, kiedy świeczki na choince przygasną, znowu rozpocznie się tasama mniej lub więcej niewesoła komedijka, która jest małym kłamstwem i zarazem szczerą prawdą życia.

Patrzył w okna, oświetlone rzęsiście i przypomniał sobie, że kiedyś, dawno i u niego tak samo jaśniało od światłości w oknach i miał światłość w duszy.

Sentymenteczek i maluśka zazdrość, a równocześnie taki nieświadomiony jeszcze, ale już dość jaskrawy głodzik szczęścia począł mu ogarniać duszę. Taka katarynka podwórzowa, która gra dawno przepiewane walczyki, znane wszystkim ulicznikom...

I znowu począł myśleć o Hance.

I znowu ogarnęła go tęsknota za czemś dobrem, za czemś swoim i tylko swoim, a w uchu poczęła mu grać zwrotka jego własnej poezji o szczęściu, które jest niczyje...

Czyli naprawdę niczyje?

Skierował kroki na stronę Rynku. Było puściutko. I naraz poczuł dziwne ukojenie. Ten rynek pusty, bez ludzi, ten rynek, który Szczerski ukochał za to, że taki jest cudny nocą, kiedy ludzi na nim nie ma, stał mu się w tej chwili drogiem podwójnie, bo ilekroć znalazł się na nim sam, bez towarzysza, tylekroć zapominał o sobie samym, a stawał się właśnie takim małym dzieckiem, które podziwia cudo...

I miał Szczerski na tym rynku taką małą swoją świątynię dumania między kościołem Panny Maryi a świętej Barbary, ostatni zabytek średniowiecza, kącik mało znany ludziom, który lubiał odwiedzać, kiedy mu było niedobrze. I teraz właśnie w tę stronę podążał, chcąc zapomnieć o Hance, wigilii i własnej, samotnej doli, jaka mu się w ten właśnie wieczór zaczęła jaskrawie uświadamiać.

I śnił o szczęściu, które jest niczyje...

A jednak każdą fibrą swojego istotnego ja, każdą najczystsza i naigłbszą tęsknotą serca swojego modlił się o swoje szczęście, które jest dzisiaj niczyje...

